GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

WARSZAWA, 1 STYCZNIA 1935 R.
NR. 1 ROK V

178

CENA NUMERU ZŁ. 0.90 PRENUMERATA KWARTALNA 4. ZŁ. GR. 50

GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

Nr. 1
1935 R.
1 — I

GRANICE i WYTYCZNE

Historja zna kilka czy kilkanaście dat, stanowiących punkty zwrotne w dziejach ludzkości. Czy jednak dziś już istnieje dostateczna ilość faktów, potwierdzających niezmiernie szeroko rozpowszechnione poczucie, że również rok 1914 rozpoczął fazę przemian, składających się łącznie na tego rodzaju przełom, tego rodzaju punkt zwrotny. Czy nie jesteśmy tylko ofiarami błędu perspektywicznego, polegającego poprostu na tem, że to, co jest nam w czasie bliskie, rośnie, a co odległe, maleje. Bo przecież nie po raz pierwszy ludzkość ma poczucie, że żyje w epoce przełomowej, chociaż nie zawsze późniejszy bieg wypadków dawał tego potwierdzenie. Niestety, odpowiedź dla nikogo niesporną, niezależną od subjektywizmu i przypadkowości, nie opartą o pewne założenia doktrynalne, a zbudowaną jedynie na analizie faktów, dokonanej metodą powszechnie w danej epoce uważaną za słuszną, da nam dopiero przyszłość. Indukcja, analiza faktów w momencie ich stawania się, nie są w stanie określić biegu wypadków. I jakkolwiek liczne byłyby wskaźniki tego, że przemiany, zachodzące w świecie współczesnym, należą do wyjątkowych to jednak syntetyczna ich ocena i określenie znaczenia w społeczno-gospodarczym rozwoju świata nie jest możliwe dziś inaczej, jak na gruncie określonej doktryny, opartej o założenia, wychodzące poza zakres czysto gospodarczy, a tkwiące w sferze historjozofji, socjologji, polityki, ba, nawet filozofji.

Jakież zatem istnieją — w obliczu olbrzymich, jeśli nie przełomowych przemian — możliwości wspólnej pracy dla grupy ludzi, których centralnym przedmiotem zainteresowania jest polityka gospodarcza Polski w dobie obecnej, a których nie łączy jednolita doktryna społeczno - gospodarcza? Możliwości te odpowiadają naturze zagadnień, stanowiących główny przedmiot zainteresowania. Ramy polityki gospodarczej Polski zakreślone są w pewnym sensie przymusowo przez istniejące warunki polityczne i gospodarcze. Tylko w krajach, w których rządząca grupa społeczna stanęła na gruncie jakiejś mniej lub więcej określonej koncepcji społeczno - gospodarczej, możliwa jest postawa aktywna w stosunku do zagadnień zasadniczych, w stosunku do zagadnienia przebudowy społeczno - gospodarczej. Tylko niektóre kraje o największym ciężarze gatunkowym w gospodarce światowej, o wysokim stopniu dorobku gospodarczego lub o wyjątkowych warunkach objektywnych, (jak obszar, ilość ludności, zasoby surowcowe itp.) posiadają znaczniejszy stopień swobody i samodzielności w kształtowaniu swej wewnętrznej i zewnętrznej polityki gospodarczej. Polska, nie należąc ani do rzędu pierwszych ani do rzędu drugich, może i powinna stawiać sobie za zadanie utrzymanie w swej polityce gospodarczej ścisłego kontaktu z przemianami zachodzącemi w świecie, pełnego dostosowania się do przemian — nie należy jednak do tych krajów, które są aktywnymi, pierwszoplanowymi uczestnikami przebudowy gospodarczej świata. Rzecz prosta, idzie tu nie o za-

jęcie takiego czy innego wyrozumowanego stanowiska, ale poprostu o fakt, że dynamika społeczna i dynamika gospodarcza Polski nie popychają naszej polityki gospodarczej w kierunku takiej aktywności, którą należałoby nazwać czynnym udziałem w przekształcaniu podstaw gospodarki światowej.

Ten właśnie stan rzeczy znajduje swe odbicie w metodach i charakterze pracy Gospodarki Narodowej, i określa zakres współpracy między nami. Zagadnienia, których rozwiązywanie musi następować przedewszystkiem na podstawie założeń szerszych, nietylko gospodarczych, ustępują w tej pracy na plan dalszy, poza dziedzinę wspólnych bezpośrednich zainteresowań. Czy wyeliminowanie ich, a raczej mniejsze uwzględnianie na łamach Gospodarki jest błędem? Sądzimy, że nie. Indywidualne, oderwane od ruchów społecznych wypowiadanie się na te tematy zagraża zawsze popadnięciem w zabawę w utopie, zaś wyrazu tendencyj i fermentów społecznych szukać należy nie w pismach gospodarczych.

Ale nawet w ramach w ten sposób określonego terenu pracy, sprawa szerokiego i głębokiego nurtu przemian, którego jesteśmy świadkami, zachowuje rolę olbrzymią, jeśli nie decydującą. Zachowuje w płaszczyźnie wspomnianego wyżej zagadnienia dostosowania naszej polityki gospodarczej do tych przemian. I tu właśnie należy stwierdzić, że jesteśmy dziś w tej fazie rozwoju wypadków, w której niezmiernie trudno zaczerpnąć z układu sytuacji w świecie wytyczne dla naszego własnego postępowania. W szeregu najistotniejszych zagadnień, zagadnień bez których rozwiązania polityka gospodarcza jest tylko polityką „z dziś na jutro“ nie mamy dostatecznej jasności obrazu. Weźmy zagadnienie autarkji. Jest niezmiernie mało prawdopodobne, ażeby na długi dystans mogły przetrwać tendencje autarkiczne. Pomijając kwestję racjonalności gospodarczej, która nie jest wszak w życiu zawsze argumentem decydującym, wydaje się niezaprzeczonem, że dalsza autarkizacja gospodarki światowej, pogłębiając kryzys, zubożając poszczególne kraje, zaostrzając ciężar kryzysu dla mas, musiałaby prowadzić do narastania tendencyj nakręcania konjunktury jako środka przeciwdziałania konsekwencjom autarkji, jako środka doraźnego przynajmniej odciążenia sytuacji mas. A wiemy przecież dobrze, że jedną z pierwszych konsekwencyj nakręcania konjunktury bywa załamanie pseudorównowagi wytworzonej przez autarkję, ponowny wzrost zależności od gospodarki światowej. Ale z drugiej strony nie wiemy, na jakim szczeblu zatrzymają się procesy autarkizacji. Jest również jasnem, jeśli weźmiemy inny problem, że ten podział „terenu“, jaki w większości państw aktualnie istnieje pomiędzy gospodarką prywatną z jednej, a upaństwowioną czy uspołecznioną z drugiej strony, nie ma charakteru podziału ostatecznego, że jeden typ gospodarki w pewnej mierze musi wypierać drugi. Natomiast niemożliwem jest określić, w którym kierunku w najbliższym czasie pójdą wypadki. I to niemożliwem niezależnie od takiej czy innej doktryny, gdyż nawet najbardziej rozbudowana w tej dziedzinie doktryna, jaką jest marksizm, kreśląc precyzyjnie generalną linję rozwojową, nie określa nam najbliższych etapów drogi rozwojowej, etapów, z których poszczególne mogą mieć nawet charakter nawrotu. I z tego również muszą być wyciągnięte konsekwencje, i z tego również staramy się je wyciągnąć. Konsekwencje te najogólniej biorąc dają się określić jako potrzeba wyraźnego umiaru, ostrożności, potrzeba takiej polityki gospodarczej, która narażałaby na najmniejsze ryzyko, w wypadku fałszywej djagnozy.

Te wyniki, jakie otrzymaliśmy z sumarycznej analizy naszego położenia w przestrzeni i czasie zgadzają się w pełni z założeniem, które zbyt często motywowane było na łamach Gospodarki, ażeby powtarzać jego uzasadnienie. Mamy na myśli założenie, że możliwości polityki gospodarczej są ograniczone, bardziej ograniczone, aniżeliby w to chciała wierzyć opinja publiczna. Owszem, istnieją w zasadzie możliwości dokonywania zmian jak najbardziej nawet doniosłych, ale są one naogół uwarunkowane okolicznościami, które właśnie nie zachodzą, które właśnie nie mają miejsca. Wydaje się niezmiernie prawdopodobnem, że nakręcanie konjunktury w gospodarce zamkniętej czy też w skali światowej może być owocne. Ale właśnie nie jesteśmy gospodarstwem zamkniętem i być niem nie możemy, a o porozumieniu w płaszczyźnie światowej myśleć nie można. Niewątpliwie słuszne jest również zdanie, szerzone ostatnio już nie przez jedno, ale przez dwa skrzydła polityczne, że głębokie przemiany społeczne stwarzają specyficzne warunki dla gospodarki, warunki w których imponderabilja czynią możliwem to, co kiedyindziej jest nierealne. Ale trzeba, ażeby najpierw powstały te imponderabilja. W warunkach dużej bierności społecznej, jaką obserwujemy w Polsce, równolegle z historycznym brakiem inicjatywy gospodarczej jednostek, liczyć się należy z olbrzymiem niebezpieczeństwem przeradzania się w papier pozornie słusznych akcyj.

Wywodów powyższych nie należy rozumieć w tym sensie, jakobyśmy byli zwolennikami t. zw.

biernej polityki gospodarczej, czy idąc jeszcze dalej, jakobyśmy uważali za prawdopodobny nawrót do liberalizmu, w mniej czy więcej czystej formie. Chodzi o co innego, chodzi o wyraźne określenie zakresu dzisiejszych możliwości polityki gospodarczej i wynikającego stąd zakresu odpowiedzialności państwa. Natomiast w ramach tego właściwego zakresu wydaje nam się konieczna polityka czynna, a nieraz nawet wyraźna polityka interwencjonistyczna. Potrzeba czynnej polityki wynika bowiem nietylko stąd, że t. zw. równowaga naturalna została już zmieniona czy zachwiana dotychczasowymi aktami interwencjonizmu państwowego, nietylko stąd, że państwo dotychczasowemi posunięciami wzięło na siebie odpowiedzialność za rozwikłanie szeregu problemów, że przy ciężarze gatunkowym gospodarki państwowej i roli obciążenia publicznego w dochodzie społecznym Polski zbyt późno byłoby już ograniczać się do wstrzemięźliwości, ale i stąd, że istnieją sytuacje, wypadki i dziedziny, w których branie przez państwo odpowiedzialności i inicjatywy stanowi rozwiązanie najwłaściwsze. Szczegółowe określenie co rozumiemy przez te sytuacje, wypadki i dziedziny, równałoby się sformułowaniu podstaw programu działania polityki gospodarczej, wykracza więc poza ramy dopuszczalne dla tego artykułu. Natomiast możliwem jest wskazanie dwu naczelnych wytycznych określających teren właściwy dla szczególnie aktywnej polityki gospodarczej Państwa. Pierwsze z nich to stwierdzenie, że bierność polityki gospodarczej wobec istnienia takich formacyj strukturalnych, takich form organizacyjnych życia gospodarczego, które z góry zapewniają przewagę pewnych grup w rozgrywce o podział dochodu społecznego, takich przeżytków i anachronizmów, które zgóry zakłócają normalny postęp gospodarczy, stanowiłaby groźbę dla normalnego rozwoju gospodarczego Polski. Drugie to stwierdzenie, że bierność w obliczu takich zakłóceń życia gospodarczego, które stają się klęskami społecznemi, byłaby równoznaczna z rozminięciem się z najbardziej podstawowemi zadaniami państwa.

* * *

Tradycją naszego pisma (po czterech prawie latach istnienia, Gospodarka Narodowa ma już tradycje) stało się podejmowanie w pierwszym dorocznym artykule próby scharakteryzowania tego, co obok wszystkich dzielących nas różnic istnieje i łączy nas. W pracy codziennej, zwłaszcza w artykułach indywidualnych, nieredakcyjnych dominować musi tendencja wypowiedzenia się bez reszty, bez szczególniejszego akcentowania, a nawet niekiedy bez oglądania się na związek danego stanowiska z generalną linją pisma. W wyżej zamieszczonym artykule staraliśmy się, nie kusząc się o pełne wyjaśnienie, uwypuklić na tle analizy kilku zasadniczych problemów istnienie pewnej wspólności myślowej.

Plany naszego pisma na rok 1935 nie odbiegają od kierunku dotychczasowego. Wytyczną naczelną będzie nadal równoległe uwzględnianie dążenia do zapewnienia pismu charakteru szerokiej platformy dyskusyjnej i dążenia, pozornie przeciwstawnego — do poszukiwania możliwie jednolitego stanowiska. Przeciwstawność ta jest o tyle pozorna, że właśnie poprzez wielostronne przedyskutowanie problemu niejednokrotnie udaje się osiągnąć usunięcie rzekomych różnic, ujednolicenie początkowo rozbieżnych poglądów. W roku 1934 rozszerzyliśmy koło naszych współpracowników, co jednocześnie pozwoliło na szersze omawianie niektórych dziedzin, niedostatecznie w latach poprzednich uwzględnianych. Mamy podstawy wierzyć, że również rok 1935 będzie stanowić krok naprzód.

Nie zamierzamy wnosić żadnych poważniejszych zmian w układ naszego czasopisma, pragniemy natomiast, i chcieliśmy to zawczasu sygnalizować naszym czytelnikom — położyć większy nacisk na łączenie poszczególnych artykułów w grupy, cykle. Sądzimy bowiem, że w ten właśnie sposób zdołamy, (nie zatracając kontaktu z aktualnością) w kilku przynajmniej corocznie dziedzinach, osiągnąć większe pogłębienie oraz lepsze i dokładniejsze wyjaśnienie stanowiska, co jest związane na łamach tygodnika o szczupłej objętości dość utrudnione. Kilka najbliższych numerów przyniesie dyskusję nad zagadnieniem ubezpieczeń społecznych, dalszy cykl artykułów poświęconych sprawom polityki rolniczej.

TADEUSZ ŁYCHOWSKI

AUTARKJA MYŚLENIA

W polskiej polityce gospodarczej od samego początku powstania Państwa i niezależnie zupełnie od kryzysu panuje „autarkja myślenia", polegająca na nieuwzględnianiu w wielu wypadkach czynnika zagranicznych interesów gospodarczych — i przyczyniająca temsamem niejednokrotnie dość znaczne szkody poszczególnym zamierzeniom.

Zastrzegamy się zgóry. Nie mamy zamiaru mówić w naszych uwagach o tem, co terminologja „kryzysowej" polityki gospodarczej nazwała, słusznie czy niesłusznie, w latach ostatnich autarkją. Nie będziemy o tem mówić, gdyż — nawiasem tylko rzekłszy — niebardzo widzimy tę „autarkję" jako jakąś nową fazę gospodarczą stosunków międzynarodowych w rzeczywistości dnia dzisiejszego. Wydaje się nam, iż poglądy na ten temat są i u nas i wielu kołach zagranicznych silnie przesadzone — a, co więcej, wynikają w znacznej mierze z alarmów kół, zainteresowanych specjalnie w handlu i transporcie międzynarodowym, a więc kół, gdzie istotnie interesy w ciągu lat ostatnich znacznie gorzej idą, niż przed kilku laty. Moglibyśmy sprobować dowieść — i trzeba będzie kiedyś to zrobić— iż wszystkie powiedzonka o „zaniku handlu międzynarodowego", o „zamykaniu się krajów w murach celnych i kontyngentowych", a zwłaszcza o naukach, jakie Polska ma z tego wysnuwać w swej polityce gospodarczej pro foro interno są poprostu wynikiem pewnej hipnozy, hipnozy, która przeszkadza rozumieć, że w stosunku do *całości* obrotów światowych obroty, hamowane cłami i kontyngentami, stanowią dziś jeszcze minimalny procent, że handel międzynarodowy, o ile uwzględniać spadek cen, nie spadł bynajmniej w wartości swej aż tak bardzo, jak by się to z suchych cyfr wydawało, że Europa w dalszym ciągu przywozi surowce a wywozi produkty gotowe, a kraje kolonjalne — naodwrót, — słowem, że mimo niewątpliwego kryzysu w międzynarodowym obrocie towarowym nie należy zbyt pohopnie wysnuwać z kryzysu tego wniosków zbyt daleko idących. Nie należy tego czynić zwłaszcza w Polsce, w której handel międzynarodowy stanowi uboczną raczej gałęź gospodarstwa narodowego, co powinno, naszem zdaniem, powodować odnoszenie się nas do wszystkich problemów, związanych z obrotem międzynarodowym, spokojniej od wielu innych krajów — i, co ważniejsza, obserwując przedewszystkiem dokładnie położenie wszystkich tych, którzy z hadlem tym mają o wiele więcej od nas do czynienia.

Jeśli pozwoliliśmy sobie na tę dygresję, której temat sam przez się nadaje się, do osobnych rozważań, to nie uczyniliśmy tego bez powodu. Chodziło nam bowiem o podkreślenie pewnej cechy naszego myślenia gospodarczego — specjalnie w stosunku do zagadnień zagranicznych: słabego osobistego zainteresowania przy skłonności do brania z zagranicy tel quel gotowych formuł na określenie pewnych zjawisk, których jesteśmy świadkami. Jest to — obok tej „autarkji myślenia", o której mamy właśnie mówić — jedna ze znamiennych cech znacznej części prowadzonych u nas dyskusyj polityczno gospodarczych.

O cóż, mianowicie, chodzi? Polska — jak każdy zresztą inny organizm gospodarczy na kuli ziemskiej — musi się stykać i styka się z otaczającym ją światem. Rzecz jednak w tem, że zarówno nasze położenie geograficzne jak i warunki samowystarczalności w wielu dziedzinach naszego gospodarstwa sprawiają, iż stykamy się na terenie gospodarczym z otaczającym nas światem o wiele mniej niż inni. Warunki geograficzne i owa pseudo - samowystarczalność nie wyczerpują zresztą wszystkich przyczyn, dla których nasz gospodarczy związek z zagranicą jest tak niewielki. Dodaćby tu można było odrazu jeszcze takie względy jak stosunkowo słabe uprzemysłowienie kraju (kapitał zagraniczny, dominujący w wielu z naszych głównych gałęzi produkcji, ilościowo mimo wszystko przedstawia się raczej skromnie), słaby rozwój kapitalizacji, powodujący z kolei względnie słabe nici. wiążące nasze instytucje kredytowe z wielkiemi ośrodkami finansowemi zagranicą itd. Jeśli chodzi o położenie geograficzne, to mamy wrażenie, że trzebaby w każdym razie raz skończyć z legendą o Polsce jako „pomoście między wschodem i zachodem"„ zważywszy, iż kontakty pomiędzy temi stronami świata odbywają się w znacznej mierze nawet bez tranzytu przez nasze terytorjum, nie mówiąc już o wyciąganiu innych korzyści, jakie by taki „pomost" mógł mieć. Względna samowystarczalność zaś w wielu odcinkach gospodarstwa narodowego przy niezmiernie niskiej stopie życiowej ludności nie sprzyja dotąd rozwojowi naszego handlu zagranicznego, który dopiero ostatnio i przy wydatnej pomocy rządowej tu i owdzie sięga w przywozie do samych źródeł surowców, a w wywozie z konieczności nie ogranicza się do krajów ościennych penetrując nieco dalej — a sporadycznie nawet i poza oceany.

Mówiąc nieco bardziej syntetycznie, we wszystkich trzech dziedzinach, w których organizmy gospodarcze stykają się zazwyczaj pomiędzy sobą, a mianowicie w obrocie ludzi, towarów i kapitałów, uczestniczymy raczej na małej powierzchni naszego własnego gospodarstwa narodowego. Jeśli chodzi o ludzi, to nie jesteśmy ani krajem wielkiej turystyki, ani krajem imigracyjnym, a natomiast niewątpliwe nasze stanowisko kraju, eksportującego siłę roboczą, zmusza nas do stanowiska raczej biernego na tym odcinku. W zakresie kapitałowym

mówiliśmy już o niewielkiem stosunkowo zaangażowaniu się obcego kapitału w nasze życie gospodarcze (co zresztą — po lekcji, jaką świat otrzymał w 1931 r. — uznać należy raczej za plus). Na odcinku obrotu towarowego stwierdziliśmy już, iż nie stanowi on jednego z czołowych fundamentów naszej struktury gospodarczej, (co, oczywiście, nie ujmuje mu ani stanowiska bardzo ważnego czynnika w kształtowaniu się tej struktury, ani — tembardziej — znaczenia konjunkturalnego). Jeśli dodamy to, o czemśmy już poprzednio wspominali, a mianowicie, iż nie jesteśmy krajem wybitnie tranzytowym, stwierdzić możemy, iż ilość i obszar płaszczyzn, na których nasze gospodarstwo narodowe styka się z resztą świata, są stosunkowo ograniczone.

Wydaje się, iż tutaj właśnie należałoby szukać przyczyny zjawiska, jakie obserwujemy w naszej psychologji gospodarczej, a które streszcza się właściwie w *niebraniu pod uwagę* jako elementu w rozważaniach na temat polityki gospodarczej w kraju refleksów, jakie może ona wywołać w naszych gospodarczych stosunkach z zagranicą. Pragnęlibyśmy uniknąć tutaj nieporozumień i dlatego tłomaczymy się odrazu jaśniej: właśnie dlatego, iż stykamy się w naszem życiu gospodarczem z zagranicą *i rzadko i niewiele*, nie myślimy przy konstruowaniu tego czy innego programu na danym odcinku naszego życia gospodarczego, o tych ewentualnych skutkach, jakie nasze posunięcie na terenie wewnętrznym wywołać może w naszych stosunkach gospodarczych z zagranicą. Poprostu w ustalaniu hjerarchji celów i środków, leżącem u podstaw każdego posunięcia polityki gospodarczej, bierze się nieomal zawsze wszystkie elementy krajowe, zapominając o tem, iż wprawdzie spotykamy się na tym terenie z elementami zagranicznemi rzadko, ale jednak się spotykamy. W przeważnej części wypadków to nieliczenie się z gospodarczym zasięgiem zagranicy przechodzi bez trudności — właśnie dlatego, iż w lwiej części naszych posunięć wewnętrzno - gospodarczych zagranica nie objawia zainteresowania, gdyż doprawdy nie obchodzi to jej. Częstokroć jednak nie liczymy się z istniejącemi interesami zagranicy — i to powoduje czasem niepotrzebne ofiary.

Bo o cóż chodzi w gruncie rzeczy? Nie o to — i z naciskiem zaznaczamy ten właśnie nasz punkt widzenia — aby w chwili, kiedy przez nasze posunięcia w polityce gospodarczej interesy zagranicy mają być naruszone, posunięcia tego nie robić i cofać się. Nie myślimy tutaj bynajmniej o jakiejś „ostrożności", często zalecanej nam z różnych stron. Ostrożności, która w gruncie rzeczy jest pospolitem tchórzostwem. Idzie nam o wplecenie w tok polskiego gospodarczego myślenia zagadnienia stosunku do zagranicy jako koniecznego elementu przed wnioskowaniem ostatecznem. Wyjaśnijmy to na przykładach.

Niedawno na łamach „Gospodarki Narodowej" w artykule p. t. Czosnek, zajmowano się konstrukcją poszczególnych stawek naszej nowej taryfy celnej. Nam w tej chwili chodzi tylko o jeden odcinek owych prac nad taryfą — o owe 20% dodatku do każdego cła zafiksowanego „ze względów negocjacyjnych". Twórcy naszej taryfy wychodzili, oczywiście, od momentu ochrony produkcji krajowej. Ustalali zatem na każdy produkt cło w wysokości takiej, jakiej tego żądał przemysł (czasami — przyznać trzeba — po targach w wysokości nieco obniżonej) albo rolnictwo. Brano przytem pod uwagę wszystkie konieczności ochronne — łącznie z argumentem tego np. rodzaju, iż „produkcja dana ma powstać w najbliższym roku". Ustaliwszy w ten sposób wysokość cła, powiedzmy, na 100, dodawano jeszcze 20, twierdząc, iż w rokowaniach handlowych owe 20 „ustąpi się" partnerowi i cło pozostanie w zamierzonej wysokości. Nikt przy konstruowaniu ceł nie zastanowił się na chwilę, *jakiemu* z naszych kontrahentów traktatowych będzie chodziło o ułatwienia w przywozie danego towaru, *ile* cła może on płacić przy przywozie, *jakie znaczenie* polityczno - handlowe posiada dla nas dany kontrahent — i w rezultacie, jakie właściwie są *szanse utrzymania* w praktyce zamierzonego cła? Dało się poprostu „w rumel" 20% dodatku — na negocjacje, nie troszcząc się nawet o to, czy aby ktoś w danej pozycji taryfy celnej zażąda wogóle zniżki konwencyjnej. W rezultacie mamy w naszej taryfie w wielu wypadkach cła o wiele (o 40, 50, 70%...) niższe od zamierzonych — w zależności od siły nacisku naszych kontrahentów, albo też — o dziwo — o 20% wyższe do zamierzonych w wypadkach, kiedy nikt zniżki nie żądał. W tych warunkach cała kalkulacja naszych twórców taryfy celnej może być uważana za pogrzebaną — a cel ochronny zupełnie nieosiągnięty. Czy nie lepiej było zawczasu pomyśleć o konsekwencjach takiego czy innego cła, a nie liczyć na to, że Polska istnieje sama na kuli ziemskiej i cła może ustanawiać sobie w wysokości dowolnej?...

Ten przykład tyczy się defensywnego odcinka zagranicznego obrotu towarowego. Mamy i inne przykłady z tejże dziedziny. Najzacniejsze w gruncie rzeczy programy z zakresu tworzenia u nas rodzimych przemysłów komunikacyjnych wyrosły na tem niezmiernie fałszywem przekonaniu, że można w danym kraju tworzyć przemysł pod ochroną ceł prohibicyjnych — nawet wówczas, kiedy analogiczny przemysł zagraniczny odgrywa w poszczególnych krajach dominującą rolę. I tutaj nie została zachowana hjerarchja celów i środków z uwzględnieniem elementu zagranicznego. Nie zastanowiono się, *ile* może nas kosztować, kiedy w konkretnej dziedzinie nie dojdziemy z danym krajem do porozumienia i nie zawrzemy układu wogóle? Co się lepiej opłaca z ogólno-gospodarczego punktu widzenia: czy pełna autonomja posunięć w danem zagadnieniu — czy możność wywozu do danego kraju? A od tego trzeba było zacząć, aby uniknąć zgoła niepotrzebnych strat.

Podobnych przykładów możnaby mnożyć wiele. Tyczą się one zarówno takich wypadków, kiedy przez niepotrzebną „gorliwość" lokalnych władz przyczynia się straty, które w następstwie pro publico bono trzeba (zapewne — z nadwyżką...) pokrywać, takich — gdy zamiast brakujących (oczywiście) środków dla przeprowadzenia

konkretnego posunięcia daje mu się jako oparcie... przepis prawny, który z punktu widzenia *zasad* prawa międzynarodowego jest dla tego czy owego. z pośród naszych kontrahentów nie do przyjęcia i wytwarza niesłychane trudności (z poparciem pieniężnem każde zagraniczne państwo pogodzi się, bo musi się pogodzić...) itd. itd. Wszystko to wynika z owego zjawiska, które pozwoliliśmy sobie określić jako „autarkja myślenia", jako niebranie pod uwagę w ogólnej kalkulacji danego przedsięwzięcia czynnika zagranicznego, o którym zgóry wiadomo, że tu właśnie nie będzie obojętny.

I powtarzamy raz jeszcze: może się zdarzyć — i zdarza się już bardzo często — że ten czynnik zagraniczny będzie w naszej kalkulacji polityczno - gospodarczej z okazji danego posunięcia *uwzględniony i pominięty.* Wtedy — doskonale. Wtedy wiemy już *zgóry,* że spokojnie możemy robić to i owo czy też nie robić tego lub owego. Wiemy zgóry, co nas ewentualnie to będzie kosztowało, uznaliśmy, że korzyści, wynikające z naszych zamierzeń są większe od strat, jakie ewentualnie z tej racji powstaną, stwierdziliśmy (co może się również bardzo często zdarzyć), że wogóle żadnych strat nie będzie — i wówczas z całym spokojem możemy się angażować w zamierzonym kierunku. Chodzi tylko o to, aby zgóry mieć wszystkie elementy decyzji w ręku. W wyniku decyzji takiej może powstać tu i owdzie to. co zazwyczaj nazywamy autarkją, może powstać *skutek gospodarczy,* wyrażający się w odgrodzeniu tej czy innej dziedziny naszego gospodarstwa od wpływów zagranicy, ale nigdy nie będzie to szkodliwe, o ile sama decyzja powzięta będzie przy odrzuceniu owej „autarkji myślenia".

CZESŁAW BOBROWSKI

PRZYMUS BIBLJOTECZNY

Przesłanki gospodarcze uzasadniają w równym stopniu potrzebę ustawy bibljotecznej, jak przesłanki kulturalne.

Proszę zajrzeć do pierwszego lepszego opisu podróży po Rosji sowieckiej, do pierwszego lepszego zbioru korespondencyj z tego kraju. Nie potrzeba sięgać do źródeł statystycznych, obrazujących ruch wydawniczy i czytelnictwo w ZSRR., wystarczy nawet nasza prasa perjodyczna, a chociażby sama Gospodarka Narodowa (Nr. 24. 1933), ażeby uprzytomnić sobie, że w ZSRR., w tym kraju, w którym w zasadzie sprawa zaspokojenia potrzeb konsumcyjnych została podporządkowana postulatowi rozbudowy aparatu wytwórczego, w tym kraju, który żyje wysiłkiem gospodarczym i politycznym, w tym kraju, któremu tak często „pięknoduchy" zarzucają zapoznanie wartości kulturalnych — sprawa książki stoi na pierwszym planie. W kilka tygodni, a nieraz w kilka dni wykupiona zostaje każda książka. Nakłady sięgają cyfr zawrotnych. Nie analizuję złożonych przyczyn tego zjawiska. Na tę wstępną dygresję od zasadniczego tematu pozwoliłem sobie tylko dla podkreślenia, że umysły wychowane na materjalistycznej djalektyce, że rząd i społeczeństwo stawiające na pierwszym planie postulaty gospodarcze, że typowy „kraj na dorobku" pojęły, iż między postępem gospodarczym a postępem kulturalnym nietylko niema sprzeczności,, ale najściślejszy, organiczny związek. Rozbudowa ciężkiego przemysłu, kolektywizacja rolnictwa i Bóg wie ile olbrzymich kampanij gospodarczych nie przysłoniły potrzeby *kampanji o książkę.*

Problem książki nabrzmiał w Polsce i dojrzał do tego stopnia, iż od kilku tygodni jesteśmy świadkami interesującej dyskusji publicystycznej, a ostatnio w sejmie rzucona została zapowiedź wniesienia ustawy bibljotecznej. Komentarze do tej zapowiedzi są skąpe, tak, iż o nastrojach i argumentacji pro i contra informuje nas raczej wspomniana dyskusja publicystyczna. Zastrzegam się z góry, że nie sądzę, ażeby ustawa bibljoteczna mogła stanowić pełne rozwiązanie problemu książki, co zresztą z pewnością nie leży w intencjach jej autorów i obrońców. Jest to tylko jeden krok naprzód, krok jednak niezmiernie ważny, zarówno z punktu widzenia *wychowania czytelnika,* któremu książka bibljoteczna zaszczepić musi potrzebę książki własnej, jak i z punktu widzenia *obniżenia ceny* książki poprzez pewne przynajmniej zwiększenie nakładu i stworzenie dla przedsiębiorstw wydawniczych gwarantowanego minimum zbytu dla niektórych przynajmniej książek. Wydaje mi się, że dotychczasowa dyskusja niedostatecznie podkreśliła te wtórne, pośrednie, ale tem niemniej doniosłe skutki wydania ustawy bibljotecznej. Nie tu jednak tkwi w mojem przekonaniu centralny, podstawowy błąd dyskusji, błąd, który sprawia, iż bez przejścia na inną płaszczyznę porozumienie stron wydaje się niemożliwe. Błąd ten tkwi w podstawowem, zasadniczem postawieniu sprawy Wykładnika poglądów, reprezentowanych w dyskusji, szukać musimy przedewszystkiem w Gazecie Polskiej, zważywszy, że to właśnie pismo do ożywienia ogólnej dyskusji najbardziej się przyczyniło. Jedną stronę dysputujących stanowią panowie Juljusz Kaden Bandrowski i Janusz Jędrzejewicz. Są to niejako przedstawiciele obozu oświatowego, wyraziciele potrzeb kulturalnych. Druga strona, to p. Maurycy Jaroszyński oraz anonimowy autor artykułu „Dajcie nam święty spokój" i autor „listu z prowincji". Stanowisko tej strony oparte jest na przesłankach gospodarczych,

a w szczególności na trzeźwej ocenie stanu finansów samorządowych i stopnia obciążenia społeczeństwa opłatami na cele publiczne. W uproszczeniu, które jednak nie jest wypaczeniem, dyskusja sprowadza się do tego, że zwolennicy ustawy bibljotecznej powtarzają ze zrozumiałym uporem „trzeba dać masom książkę", przeciwnicy z niemniej zrozumiałym uporem replikują „nie mamy pieniędzy". Powstaje zatem pozór, jakgdyby słuszny, przez nikogo nie kwestjonowany postulat lepszego zaspakajania potrzeb kulturalnych pozostawał w sprzeczności z naszemi możliwościami gospodarczemi, z potrzebą zrównoważenia gospodarki samorządu, z niemożnością nakładania dodatkowych obciążeń na społeczeństwo. Dyskusja wyjaśniła już, że propagatorzy ustawy bibljotecznej nie domagają się wprowadzenia podatku celowego, a jedynie wykrojenia z dotychczasowych wpływów odpowiedniej pozycji budżetowej na cele bibljoteczne. Odpowiedź powołała się na to, iż skoro przy dzisiejszym zakresie zadań samorządów budżety ich zamykają się deficytem, to wprowadzenie nowego obciążenia budżetu na cele bibljoteczne musi, poprzez zwiększenie deficytów, doprowadzić do zwiększenia obciążenia społeczeństwa. Otóż takie właśnie postawienie sprawy prowadzi do stworzenia przeciwstawności racji kulturalnej i racji gospodarczej. Wydaje mi się to błędem, wydaje mi się wręcz przeciwnie, że potrzeba ustawy bibljotecznej wynika w tymże stopniu z przesłanek gospodarczych, co z kulturalnych.

Postaram się to uzasadnić nie wnikając w szczegóły. Podstawowe zagadnienie stanowi dla mnie pytanie: czy (abstrahując narazie od sprawy kto i z jakich źródeł ma pokrywać wydatki) należy włączyć do budżetów publicznych wydatki na te cele, które przewiduje ustawa bibljoteczna. Odpowiedź musi brzmieć — tak. Z punktu widzenia potrzeb kulturalnych motywacja jest aż nadto prosta. Poprostu dlatego „tak", że książka jest chlebem powszednim i nie należy tracić żadnej okazji dla udostępnienia jej masom. Analiza gospodarcza dostarcza nam przesłanek idących w tym samym kierunku. A więc przedewszystkiem niewątpliwem znamieniem gospodarki społecznej XX wieku jest to, że coraz to inna dziedzina potrzeb ludzkich zaspakajana jest nie na drogach konsumcji indywidualnej, ale konsumcji zbiorowej. Dzieje się to zawsze wtedy, kiedy warunki gospodarcze nie pozwalają na zaspokojenie danej potrzeby w stopniu, który racja państwowa uznałaby za dostateczny. Niewątpliwie poziom czytelnictwa w Polsce jest nietylko z punktu widzenia postępu i przekazania tradycyj kulturalnych, ale i z punktu widzenia państwowo - politycznego, katastrofalny. I dlatego też ciężar konsumcji książek musi być choć w części przeniesiony ze spożycia indywidualnego na spożycie zbiorowe, jakiem jest bibljoteka. Proces taki jest tem bardziej uzasadniony, że obok szeregu przyczyn niezależnych od Państwa jednem ze źródeł niemożności zaspakajania, w drodze indywidualnej, potrzeb czytelnictwa jest właśnie wysoki poziom obciążeń publicznych. Tkwi w tem dowodzeniu circulus vitiosus. Prawda. Ale na tem właśnie polega paradoksalność sytuacji, że tak musi być. Że im bardziej wzrastać będzie obciążenie publiczne, tem szerszy będzie zakres potrzeb, które trzeba będzie zaspakajać via budżet. Można z tej drogi zawrócić. Ale dopóki się nie zawróciło, trzeba wyciągać nieuchronne konsekwencje. Drugi moment, który specjalnie w wypadku ustawy bibljotecznej gra rolę, to to, iż właśnie, jeżeli chodzi o książkę, forma konsumcji zbiorowej jest nieporównanie ekonomiczniejsza od konsumcji indywidualnej, że przy tej formie stosunek nakładu gospodarczego do niedającej się zresztą mierzyć ilości światła i wrażeń wniesionych do umysłów ludzkich, jest wyjątkowo korzystny. Trzecia okoliczność, wynika z postulatu oszczędnej i efektywnej gospodarki ciał publicznych. P. Minister Jędrzejewicz z największą słusznością zwrócił uwagę, że brak ustawy bibljotecznej nie pozwala wykorzystać w pełni paruset miljonowych wydatków na szkolnictwo. Dodam jeszcze, że przecież tak pospolite zjawisko powrotnego analfabetyzmu, który równa się wręcz przekreśleniu odpowiedniej części wydatków na szkolnictwo, wyrzuceniu tych pieniędzy w błoto — organicznie wiąże się z brakiem bibljotek. Jeśli chodzi o postulat ekonomji, to proszę zresztą zapytać się wojskowych, mających do czynienia ze szkoleniem rekrutów - półanalfabetów, jak olbrzymiem odciążeniem w pracy i wydatkach byłoby najmniejsze podniesienie czytelnictwa. Podobnie zresztą przedstawia się sprawa z punktu widzenia potrzeb życia gospodarczego. Wszystkim np. stykającym się z życiem rolnictwa jest doskonale wiadome, że główną trudnością w rozwoju i postępie szeregu nieraz kosztownych akcyj gospodarczych, jak chociażby organizacja spółdzielczości rolniczej, jest ubóstwo materjału ludzkiego o dostatecznym poziomie kulturalnym. W rolnictwie oczywiście, gospodarcze znaczenie kultury, a zatem i czytelnictwa, występuje najjaskrawiej. Ale te same zjawiska znajdziemy i w małym handlu, ba, w przemyśle. W tem miejscu muszę ponownie odwołać się do przykładu sowieckiego. W tym kraju do niedawna pozostającym pod jednostronnym urokiem fachowości i wiedzy technicznej, podkreślane jest w ostatnich czasach z całym naciskiem, że w szeregu gałęzi wytwórczości warunkiem wydajnej pracy robotnika jest podniesienie poziomu jego ogólnej kultury. W płaszczyźnie tych rozważań wydaje mi się widocznem, że wydatek na bibljoteki nie jest luksusem, ale oszczędnością, a zaniechanie tego wydatku *marnotrawstwem gospodarczem.* To zresztą zagadnienie drugorzędne. Pierwszorzędnem jest to, co zostało powiedziane na wstępie: potrzeby, zajmujące pewne miejsce w hjerarchji potrzeb, w dobie dzisiejszej są i muszą być przejmowane na budżet publiczny. Kiedyś wojsko przestało być własnością magnatów. Kiedyś zapewnienie bezpieczeństwa przejęte zostało z rąk zainteresowanych w ręce państwa. Kiedyś przyszła kolej na szkolnictwo powszechne. Dziś przyszła kolej na książkę.

Pozostaje druga strona problemu. Kto i jak powinien praktycznie zrealizować postulat częściowego zaspokojenia potrzeb czytelnictwa za pośrednictwem budżetów publicznych. Wysuwane są

dwie ewentualności: Ministerstwo Oświaty i samorządy terytorjalne. Chociaż pierwsza z nich mnie osobiście wydaje się szczęśliwsza, nie czuję się kompetentnym do wybierania między niemi, natomiast obie ewentualności są możliwe. Jeśli kwestja bibljotek jest tak istotna, jak sądzi piszący te słowa i jak mówią „czynniki oświatowe", to w wypadku powierzenia tej sprawy Ministerstwu Oświaty, w budżecie jego pieniądze się na to znajdą, bo znaleść się muszą. Niemożność znalezienia odpowiednich sum budżetowych świadczyłaby — życiowo biorąc — że jednak sprawa bibljotek nie jest przez oświatowców traktowana jako tak doniosła, ażeby dla niej uszczuplać wydatki na inne cele oświatowe, że traci ona na znaczeniu z chwilą kiedy ma obciążać budżet oświatowy a nie samorządowy.

Drugą alternatywa to powierzenie sprawy samorządom. Czy jednak w razie wybrania tej drogi możliwe jest nałożenie samorządom nowego, choćby nawet niezbyt kosztownego obowiązku, z chwilą, kiedy słusznie odrzucona została koncepcja podatku celowego na pokrycie kosztów zrealizowania ustawy bibljotecznej. Czy samorządy będą mogły ponieść koszty ustawy bibljotecznej bez zwiększania obciążenia społeczeństwa? Na to pytanie trzeba odpowiedzieć, nie możnaby się bowiem zadowolnić głuchem stwierdzeniem, że samorządy powinny znaleść źródła pokrycia, nie zwiększając ogólnego obciążenia. Pan M. Jaroszyński słusznie i wymownie podniósł, że przy deficytowości gospodarki samorządowej i znacznem obciążeniu przymusowymi wydatkami tkwi tu poważne ryzyko załatwienia, koniec końców, sprawy przez zwiększenie obciążenia. A oczywiście ekonomista musi sobie zdawać sprawę z tego, że dodatkowe obciążenie w sumie od 5 do 25 groszy na głowę ludności nie jest w Polsce drobiazgiem. Czy więc samorządy mogą czy nie mogą zmieścić w swoich budżetach koszta ustawy bibljotecznej? I tak i nie. Nie mogą, tak samo, jak nie mogą wykonać znacznej części funkcyj, dziś już na nie nałożonych. Ale nie mogą o tyle, o ile nie zostanie dokonana przebudowa gospodarki samorządowej i obowiązków samorządowych. Mogą i muszą natomiast przy dokonaniu tej przebudowy. Przebudowy, o którą od lat walczy trafnie nie kto inny, jak właśnie pan minister Jaroszyński. Z punktu widzenia społeczeństwa - płatnika wszystkie obciążenia stanowią jedną całość. Ale również jedną całość z tegoż punktu widzenia stanowią wszystkie wydatki budżetów publicznych. Podobnie, jak błędnem byłoby rozstrzygnięcie sprawy ustawy bibiljotecznej w płaszczyźnie rozumowania, że 25 groszy na głowę ludności jest drobiazgiem, tak samo błędnem jest czynienie właśnie wydatków na cele bibljoteczne kozłem ofiarnym za całość naszej gospodarki budżetowej. Przez wiele lat narastały — dobrowolnie i pod przymusem — wydatki związków samorządowych. Dzisiaj, kiedy okazały się one nadmierne i kiedy okazała się jawna konieczność ich redukcji, coś musi paść ofiarą noża. Ale o wyborze przedmiotu cięć budżetowych nie powinno decydować to, że proponowany wydatek jest nowy, ale tylko to, czy jest on racjonalny, czy nie. Istotnie, nie można zwiększać obciążenia społeczeństwa na cele bibljoteczne, a raczej nie można go zwiększać wogóle. Istotnie należy to obciążenie zredukować, przyczem niema zasadniczego znaczenia w tej płaszczyźnie rozważań, czy redukcja nastąpi w zakresie obciążeń na rzecz samorządów, czy na rzecz państwa, czy jakichkolwiek innych. Ale tym wielkim problemem nie można obciążać sprawy ustawy bibljotecznej, która powinna być traktowana wyłącznie pod tym kątem, czy dana potrzeba mieści się w hierarchji potrzeb pokrywanych ze środków publicznych. Z kwestją oszczędności samorządowych sprawa ustawy bibljotecznej wiąże się tylko o tyle, że skoro mielibyśmy się liczyć z koniecznością stworzenia nowej pozycji w budżetach samorządowych, to tem większa powinna być oszczędność, tem poważniejsze redukcje w tych starych pozycjach, które posiadają znaczenie mniej doniosłe, a nieraz zgoła zbędne. Podejrzewam, że o odmiennem stanowisku pana ministra Jaroszyńskiego zadecydowała poprostu obawa, że, biorąc życiowo, łatwość wprowadzenia nowego wydatku będzie większa niż łatwość ograniczenia wydatków niekoniecznych. Stanowisko takie na pozór grzeszy małodusznością, niestety jednak można je uważać za podyktowane trzeźwą oceną rzeczywistości. Ale z tego stanowiska można conajwyżej wyprowadzić wniosek, że o ile koszty ustawy bibljotecznej mają obciążyć samorządy, to realizacja jej powinna być organicznie związana z przebudową gospodarki samorządowej. Natomiast do zakwestjonowania samej zasady możnaby dojść tylko wtedy, gdybyśmy mogli twierdzić, że środki publiczne, używane są z reguły jedynie na cele donioślejsze niż ustawa bibljoteczna, — względnie, że z bibljotek ludność nie będzie korzystać. Skoro tak nie jest, to wydaje mi się, iż gospodarcze uzasadnienie konieczności zrealizowania ustawy bibljotecznej jest niesporne i że należy raz na zawsze sprawę tę oddzielić od sprawy uporządkowania finansów samorządowych i wogóle finansów publicznych. Ramy i temat tego artykułu zwalniają mnie od obowiązku zastanawiania się nad kierunkiem polityki oszczędnościowej. Gdzie szukać wydatków niekoniecznych, powiedzieć nam muszą zresztą eksperci, pośród których poczesne miejsce zajmie niewątpliwie pan Maurycy Jaroszyński. Ale że są takie wydatki, nie ulega wątpliwości. Naprzykład czy „oktrojowanie cywilizacji materjalnej" w postaci obowiązku łańcuchów dla psów, przymusu tabliczek na chłopskich wozach w okolicach, gdzie mało kto zdoła je przeczytać, przepisów budowlanych w odniesieniu do klozetów przy kurnych chatach na głuchych wsiach kresowych, czy ewidencja psów (dosłownie) a nawet system meldunkowy, co wszystko razem łącznie z karami administracyjnemi stanowi wydatki, idące w miljony, a wśród znacznej części ludności nie może być zrozumiane i wywołuje jedynie niezadowolenie — czy wszystko to jest choć trochę współmierne z potrzebą książki?

UWAGI

JAŁOWA TAKTYKA

Gdy jedni, dzięki organizacji, pobierają rentę monopolową, a innym pozostaje tylko jej płacenie, trudno się dziwić tym ostatnim, że woleliby się znaleźć w położeniu pierwszych. Tem trudniej się dziwić, że w ostatnich właśnie latach takie przejście z grupy upośledzonej do uprzywilejowanej nie jednemu się udało i, że w miarę pęcznienia grupy monopolowej, a topnienia grupy narażonej na konkurencję, poszczególne jednostki tej ostatniej grupy odczuwają ciężar coraz bardziej nieznośny. Zrozumiałe jest, że wzrost liczebny obozu kartelowego[1]), nie cieszy także dotychczasowych członków tego obozu, bo zwęża tą część dochodu społecznego, która może być przewłaszczana na rzecz świata kartelowego i równocześnie zwiększa liczbę stających do podziału korzyści. Dalsza kartelizacja jest więc niepożądana tak dla zorganizowanej jak i niezorganizowanej części społeczeństwa, a także gospodarstwa społecznego jako całości, prowadzi bowiem do coraz bardziej jaskrawego zakłócenia równowagi w podziale dochodu społecznego. To wszystko nie jest jednak, oczywiście, żadnym argumentem dla podmiotów zamierzających się kartelizować i słusznie widzących w tem dobry interes. Czy wobec tego i wobec przychylnej neutralności, nie odmawiającej poparcia, ze strony polityki gospodarczej dla dalszej kartelizacji, należy się spodziewać, że wreszcie wszystkie dobra i usługi zostaną zmonopolizowane? Czy już aktualne jest zastanawianie się nad tem, jak się wówczas ukształtuje podział dochodu społecznego, czy powszechna kartelizacja przywróci swoistą konkurencję, czy też, wskutek zaostrzenia walki miedzy zorganizowanemi grupami skłoni Państwo do powszechnej etatyzacji?

Sądzę, że stawianie podobnych pytań nie posiada dziś jeszcze sensu praktycznego. Dzisiejsza, jak i dająca się przewidzieć na jutro technika organizacyjna nie pozwala na ujęcie w dostatecznie ścisłe i trwałe ramy tych grup zawodowych, które się odznaczają bądź liczebnością i rozproszeniem dyspozycyj, bądz też różnorodnością i trudnością objektywnego sklasyfikowania wytworów. Wprawdzie wprowadzenie przymusu organizacyjnego, opartego na sankcji udzielonej przez Państwo, pozwala na znaczne rozszerzenie listy tych grup, które „nadają się“ do skutecznej kartelizacji. Droga kartelizacji przymusowej wydała się tak nęcąca, że wyciągnęły ku niej ręce nawet te grupy, które nie osiągnęły form choćby wczesno - kapitalistycznych, jak rzemiosło i rolnictwo. Wszechmoc Państwa w szkodzeniu swym własnym interesom jest jednak również ograniczona. Polityka gospodarcza chętnie przyznaje każdej grupie upośledzonej w dzisiejszym sposobie podziału dochodu społecznego swoją pomoc i sankcje dla tworzenia przymusowych organizacyj pod hasłem walki z „chaosem“ i z „dziką konkurencją“, ale i jej sankcje nie wystarczą dla ujęcia w karby np. trzech i pół miljona wiejskich gospodarstw.

W ciągu roku 1934 mamy do zanotowania, obok powstania paru nowych, zupełnie skutecznych karteli przemysłowych, bardzo poważny krok ustawowy, umożliwiający przymusową kartelizację rzemiosła, wytężone poszukiwania sposobów ograniczenia konkurencji w rolnictwie, wreszcie jeszcze raczej może jednostkowe, ale znamienne marzenia o kartelizacji przetwórczości drewna.

Na korzyść tezy realności ścisłego związania organizacyjnego rzemiosła ma przemawiać przedewszystkiem argument historyczny. W średniowieczu rzemiosło było terenem bardzo silnego skrępowania konkurencji, to prawda. Można jednak mieć wątpliwości, czy w dzisiejszym, o wiele bardziej złożonym splocie życia gospodarczego, skuteczność kontroli przeciw „przestępstwu“ sprzedaży po cenach konkurencyjnych byłaby dostateczna, czy te same przyczyny, które doprowadziły do rozkładu ustroju cechowego nie ujawniłyby się w dzisiejszych warunkach od początku, a zwłaszcza, czy zamknięta organizacja rzemiosła oparłaby się wobec parcia poszukujących zarobku w kraju przeludnionym. Kto wie, czy kartelizacja rzemiosła nie doprowadzi nawet do przyśpieszonej likwidacji pewnych jego gałęzi, bądź to na rzecz przemysłu fabrycznego, bądź też na rzecz chałupnictwa, albo większego zaspokajania potrzeb wewnątrz własnych gospodarstw dzisiejszych klijentów rzemiosła.

Utopijność projektów przymusowego organizowania całego rolnictwa, albo głównych jego gałęzi wykazywałem parokrotnie, nie posądzam zresztą czytelników „Gospodarki“ o wiarę w realność tych projektów. W bieżącym roku gospodarczym jesteśmy natomiast świadkami doświadczalnego rozwiązywania zagadnienia możliwości zorganizowania specjalnej grupy rolników — producentów nasion oleistych. Pomimo niewątpliwie większej łatwości udania się takiego eksperymentu w ograniczonej dziedzinie, pomimo stosunkowo dużej ostrożności i dłuższych prac przygotowawczych, pomimo czułej opieki ze strony Państwa, — już dzisiaj można przewidywać rychłe załamanie się nowego kartelu, można nawet łatwo wyobrazić sobie mechanizm tego załamania. Pomijam przytem zupełnie rozpiętość, już dzisiaj bardzo poważną, między ceną rzepaku płaconą przez przemysł i notowaną na giełdach, a ceną, otrzymywaną przez ogół producentów Zadecyduje inny moment, — brak w rękach kartelu jakiegokolwiek narzędzia skutecznego regulowania produkcji. Zdaje się, że kierownicy kartelu już się w tem zaczynają orjentować, skoro ukazują się ze strony zwolenników organizacji ostrzeżenia i obrony przed antycypowanemi zarzutami. „Musimy pamiętać, — pisze p. Janusz Łoś w n-rze 51 „Gazety Rolniczej“ — że tegoroczny wzrost produkcji

---

[1]) Zgodnie z drem R. Piotrowskim („Kartele i Trusty“) obejmuję mianem kartelu wszystkie organizacje zmierzające do ograniczenia konkurencji.

rzepaku ozimego nie był wynikiem akcji organizacyjnej. Wprost przeciwnie: rok temu już związek nawoływał do niepowiększania zasiewów. „Możemy być pewni, że związek nadal będzie równie skutecznie „nawoływał", a uprawy będą bardziej skutecznie rosły, aż ceny się załamią. Zupełne zamknięcie importu surowców oleistych, lub wyjątkowa konjunktura mogą ten proces nieco opóźnić, zwiększając, oczywiście, jego późniejszą gwałtowność. O ustaleniu odpowiedzialności pomówimy wówczas.

Wreszcie drewno. Zgóry przyznaję, że kartelizacja pewnych gałęzi przemysłu drzewnego, gdzie kosztowność instalacyj ogranicza liczbę producentów, jest zupełnie możliwa, nawet bez przymusu. Możliwe jest także i już częściowo realizowane, zresztą nie bez przymusu (organizacyjne cła wywozowe), ograniczenie konkurencji w eksporcie. Rzecz jednak w tem, że gałęzie, które nie mają warunków dla skutecznej kartelizacji również chętnie o niej marzą. Niedawno, w n-rze 95 interesującego i dalekiego od sympatyzowania z kartelami czasopisma fachowego „Rynek Drzewny", zamieścił p. J. Głaz. artykuł tak zakończony: „Nie oglądając się na pomoc zzewnątrz, należałoby za przykładem chociażby takiego przemysłu węglowego, utworzyć organizację, któraby miałaby na celu uzdrowienie stosunków, no i przypominałaby od czasu do czasu komu należy, że drzewnictwo też nie od macochy". Zdaję sobie sprawę, że jest to pogląd daleki od poglądu redakcji, z drugiej jednak strony nie jest on wcale odosobniony, gdy chodzi o postulaty „praktyków".

Gdyby powyżej opisany stan umysłów prowadził tylko do indywidualnych rozczarowań, byłoby pół biedy. Co gorsza, paraliżuje on bardzo skutecznie wszelkie wysiłki, zmierzające do obrony udziału w dochodzie społecznym grup niepoddających się kartelizacji. Wysiłki te bynajmniej nie są w założeniu beznadziejne, skoro istnienie ogromnej części karteli, a sposób działania wszystkich zależy w zupełności od poparcia ze strony polityki gospodarczej. Polityka zaś liczy się i liczyć się musi z nastrojami i żądaniami społeczeństwa. Prowadzenie polityki sprzecznej z interesami karteli byłoby niesłychanie łatwiejsze, gdyby tej polityki domagały się wszystkie grupy poszkodowane wskutek kartelizacji, a więc całe rolnictwo, całe rzemiosło, chałupnictwo, wszystkie rozproszone przemysły, przeważna część handlu, wolne zawody, duża część pracowników najemnych. Dopóki te same grupy wolą się poświęcać jałowym poszukiwaniom, czyby jednak nie dało się samym tą lub ową szczeliną prześlizgnąć do grupy uprzywilejowanej, tem samem zamykają przed sobą drogę do walki z zasadą przywileju. Zupełnie podobnie, jak za wątpliwej wartości prezent w postaci prohibicji importowej rolnictwo straciło taktyczną płaszczyznę walki z ultra-protekcją przemysłową, tak znowu dla kilkuletniej doraźnej korzyści grupy producentów rzepaku skłonne jest wyrzec się skutecznej walki obronnej przed ofensywą kartelizacji. W tych warunkach żale do polityki gospodarczej są nie na miejscu. Jałowa taktyka zainteresowanych uniemożliwia bowiem politykę bardziej energiczną.

Józef Poniatowski.

CHAŁUPNICY

Zjawisko chałupnictwa nie jest w Polsce nowe, ale mimo to jest groźne. Widzieć w niem należy nietylko zło społeczne, lecz również gospodarcze, pauperyzacja bowiem drobnych miast i miasteczek oraz części ludności wielkomiejskiej nie sprzyja wzmożeniu spożycia i kapitalizacji.

Można się wyrazić, że poważny odłam rękodzieła jest dotknięty chorobą chałupnictwa. Co gorsza — choroba ta przerzuca się i na niektóre dziedziny pracy mechanicznej. Już nietylko krawiectwo, szewctwo lub cholewkarstwo (to ostatnie niesłusznie podniesione przez prawo przemysłowe do godności odrębnego przemysłu rzemieślniczego), ale nawet tkactwo czy przemysł mineralny wykonywane są systemem chałupniczym. Już się coraz częściej mówi o chałupniczym sposobie wyrobu cegieł, a stosunki we włókiennictwie są powszechnie znane. W jednem z miast średniej wielkości w b. Kongresówce oblicza się chałupniczą produkcję tkanin na 1,2 milj. zł., a straty jakie ponosi Skarb Państwa z powodu istnienia włókienniczego przemysłu anonimowego (= chałupniczego) w temże mieście, szacują na 300.000 zł. rocznie. A jak się odbija konkurencja chałupnictwa na sytuacji przemysłu fabrycznego, świadczy fakt, że w fabrycznych tkalniach białostockich tysiąc t. zw. rzutów kosztuje przedsiębiorcę 48 gr., gdy w t. zw. zakładach lonkietniczych (chałupniczych) zaledwie 25 — 26 gr. Dodajmy wreszcie, że chałupnictwo ze względów fiskalnych i z uwagi na ubezpieczenia socjalne przybiera formę fikcyjnych spółdzielni czy spólnot pracy, gdzie pod jednym dachem stoi kilkanaście rzekomo samoistnych warsztatów, opłacających jak najniższą kategorję świadectwa przemysłowego, a w gruncie rzeczy podporządkowanych anonimowemu (wobec władz) przedsiębiorcy-nakładcy.

Chałupnictwo i jego względny (w porównaniu z innemi metodami pracy) rozwój wywołuje raz poraz fermenty i krytykę zainteresowanych grup społecznych. Niezadowoleni są robotnicy zorganizowani, zagrożeni przez chałupniczą „armję rezerwową", protestuje rzemiosło, od którego prawodawca wymaga pewnego minimum kwalifikacyj i związanego z tem ekspensu czasu, starań i kosztów, oburzają się fabrykanci, którym inspektor pracy, władza przemysłowa lub urząd skarbowy stale depczę po piętach, podczas gdy konkurujący z niemi nakładcy pozostawieni są naogół w spokoju. Co ciekawsze — protestują także i sami nakładcy, jeżeli sprytniejszy naczelnik urzędu skarbowego zmusza ich do ponoszenia ciężarów fiskalnych również za pośredników, komisjonerów, faktorów itp. Nie jest, nakoniec, obojętny głos tych, którzy w rozwoju chałupnictwa dopatrują się pewnego pokrzywdzenia robotników chrześcijańskich, gdyż elementem, garnącym się najchętniej do warsztatów chałupniczych i godzącym się z panującym tam wyzyskiem, są żydzi, aczkolwiek z drugiej strony poważnym dostawcą chałupników była i jest polska przeludniona wieś...

Ale zapomnieliśmy o rzeczy najważniejszej: kto jest chałupnikiem? Zdawałoby się napozór, że

to sprawa błaha bądź akademicka. W rzeczywistości kwestja definicji chałupnictwa ma pierwszorzędne znaczenie praktyczne i dlatego zakreślenie granic tego pojęcia następuje w Polsce niesłychanie powoli i stopniowo.

Nie doszło się np. u nas do powszechnego zrozumienia, że chałupnictwo jest raczej umową o pracę, aniżeli umową o dzieło. Nie wszyscy jeszcze godzą się z faktem, że rzemieślnik, zatrudniający najemników, dając im zamówienia, własny towar do przeróbki etc., jest rzemieślnikiem, a nie chałupnikiem, chociażby pracował dla nakładcy. Nie jest on coprawda samoistnym, nie zbywa swej produkcji indywidualnym konsumentom, niemniej jest sam skolei nakładcą. W takiem np. szewstwie odróżniamy aż 4 odrębne kategorje czy grupy zainteresowanych: chałupników we właściwym sensie tego słowa, samodzielnych rzemieślników, rzemieślników - komisjonerów i nakładców „pur sang" (np. firma „Del-Ka").

Na istnienie ogniw pośredniczących należy zwrócić szczególną uwagę. Instytucja t. zw. komisjonerów jest naszemu prawodawstwu socjalnemu zupełnie nieznana i najniesłuszniej podciągnięta pod miano chałupników, podczas gdy w rzeczywistości są to „kierownicy w gałęzi produkcji, wytwarzającej systemem chałupniczym, trudniący się wyrobem i przygotowywaniem produktów na skład na rachunek innego przedsiębiorcy, dostarczający sami surowców całkowicie lub częściowo, bądź też pracujący ubocznie także dla klijentów" — jak mówi art. 2 czechosłowackiej ustawy z 12.XII 1919 r o uregulowaniu warunków pracy i płacy w chałupnictwie[1]).

Podobnież nie można dopatrywać się chałupnika w każdym drobnym producencie, który mieszka ....w chałupie a nie w domach blokowych wielkiego miasta. Dlatego też nie będą chałupnikami mieszkańcy Świątnik w krakowskiem, produkujący nb. znakomite kłódki, które sami sprzedają po wsiach i na targach. Są to de facto samoistni rzemieślnicy ślusarscy, aczkolwiek mogą oni zatrudniać jedynie własnych członków rodziny bez pomocy najemnej zzewnątrz. Dokonywanie tranzakcyj handlowych z odbiorcą - konsumentem (a nie z pośrednikiem czy nakładcą) odbiera im charakter chałupników, przez które to słowo rozumiemy pracowników, pozbawionych samodzielności handlowej i zawierających z przedsiębiorcą (nakładcą, komisjonerem, czy pośrednikiem) jedynie umowę o pracę.

Granice pomiędzy rzemieślnikiem, kupcem i chałupnikiem są w dzisiejszym stanie prawnym zatarte. I to często rozmyślnie przez dwie pierwsze kategorje, aby ulżyć sobie w podatkach i ubezpieczeniach społecznych. Niesumienni przedsiębiorcy, pragnąc uniknąć ponoszenia ciężarów publicznych, zawierają nieraz fikcyjne umowy z nakładcami czystej wody, by uchodzić za chałupników, gdy de facto są rzemieślnikami lub kupcami. Odwrotnie, nakładcy rzeczywiści (ogniwo ostatnie, najwyższe) bronią się przed zaliczaniem sub-nakładców (komisjonerów, pośredników, naganiaczy) do kategorji chałupników, gdyż muszą za nich wszystkich i za właściwych chałupników ponosić ciężary publiczne, jakgdyby ci komisjonerzy itp. byli robotnikami, zatrudnionymi na ryzyko nakładcy.

Do wspomnianego zamazania granic pojęcia chałupnictwa przyczyniła się ponadto z jednej strony technika poboru podatków (w myśl zasady: „jeden za wszystkich"), z drugiej zaś — stanowisko, zajęte w ustawach socjalnych. Ustawy te ujmują chałupnictwo raczej etymologicznie, a sądząc ze stanowiska p. Kusocińskiego (op. cit. str. 4), zacierają różnice socjalne i organizacyjne, istniejące w obrębie jednego skupiska chałupniczego. Stąd też ustawa z 19.V 1920 r. (zwana popularnie ustawą o Kasach Chorych) mówi m. in., że chałupnikiem jest również i ten, kto *przeważnie* pracuje dla przedsiębiorcy, majstra itp., podczas gdy — naszem zdaniem — cechą chałupnika jest praca *wyłącznie* dla nakładcy. Podobnież wspomniana ustawa pozwala chałupnikom zatrudniać obcych pracowników, co według nas przekreśla sens chałupnictwa, a co zresztą sprostował okólnik Ministerstwa Opieki Społecznej z 1.III. 1923, mówiący, że „za chałupników mogą być uważani ci tylko posiadacze warsztatów, którzy osobiście zatrudnieni są zawodową pracą" (Kusoc. str. 63). Niestety, projekt ustawy o pracy chałupniczej, złożony w kilka miesięcy później (28.VII 1923 r.), powraca do koncepcji uznawania za chałupników nawet i tych, którzy „korzystają z pomocy osób innych" (Kusoc. op. cit. str. 68), nie wymieniając, że chodzi tu jedynie o członków rodziny tego samego gospodarstwa domowego. Zdawałoby się natomiast, że właściwszą — z punktu widzenia interesów opieki społecznej — rzeczą byłoby nie tyle zbyt szerokie interpretowanie pojęcia chałupnictwa, ile troska o usunięcie anty - socjalnych warunków pracy chałupników, o pisemną formę zawieranych umów z nakładcami, o skasowanie „uczniów" chałupniczych itd.

Polskie ustawodawstwo społeczne, tak zawsze chętne do korzystania z obcych wzorów, nie potrafiło dotychczas w sprawach chałupniczych zaczerpnąć ze *współczesnego* ustawodawstwa zagranicznego. Nasze projekty nawiązują do niemieckiej definicji *przedwojennej*, gdzie jest mowa o „warsztatach, w których ktokolwiek pracuje przy współudziale członków rodziny lub osób zajmujących się produkcją o charakterze przemysłowym"[1]). To samo prawodawstwo *po wojnie* ogranicza pojęcie chałupnika do „jednej osoby, która zajmuje pracą przemysłową wyłącznie osoby ze swojej rodziny". „Prawo sowieckie — pisze p. Kusociński (op. cit. str. 15) kładzie szczególny nacisk na bezwzględną nieobecność wszelkiej pomocy płatnej w tej liczbie i czeladników". Poza wspomnianą na początku nin. uwagi definicją czechosłowacką wspomnieć jeszcze należy definicję austryjacką, z której wynika zabronienie chałupnikom zatrudniania pomocników lub uczniów, oraz hiszpańską, wprowadza-

---

[1]) Cytata w/g Z. Kusocińskiego „Ustawodawstwo chałupnicze w oświetleniu porównawczem" (Instytut Gospodarstwa Społecznego „Drobny przemysł i chałupnictwo" tom II Warszawa 1934) str. 72:

[1]) Ta i dalsze cytaty zaczerpnięte z pracy Kusocińskiego (str. 12, 58, 59 i 61).

jącą pojęcie „warsztatu rodzinnego", w którym „mogą pracować tylko osoby razem zamieszkałe i to do trzeciego stopnia pokrewieństwa włącznie".

System, jaki panuje w Polsce i który nazwalibyśmy chałupnictwem wielonakładowem czy wielofazowem, przyczynia się niewątpliwie do zwiększenia wyzysku ostatniego ogniwa, tj. chałupnika w dosłownem znaczeniu tego wyrazu. Na to ostatnie ogniwo wszyscy komisjonerzy (rzemieślnicy lub kupcy) i pośrednicy przerzucają ciężar ryzyka i kosztów, a ponadto stale je „zarywają". Chodzi nam przeto o przerwanie tego łańcucha lub, ściślej się wyrażając, o niedopuszczenie do przyjmowania pomocników i uczniów przez ludzi, którzy są komisjonerami, a udają chałupników. Temu zaś, kto się obawia, iż uznanie komisjonerów za samoistnego czy napółsamoistnego przedsiębiorcę (rzemieślnika lub kupca) pozbawi ich możności wykonywania pracy chałupniczej, odpowiemy, że nie będzie to równoznaczne z pozbawieniem ich pracy wogólności i że nadal komisjonerzy będą działali, ale jako jawne, kontrolowane i wykwalifikowane organa pośredniczące. *j. gozd.*

POLSKO-ANGIELSKI UKŁAD WĘGLOWY

Jest niesłychanie trudno pisać o znaczeniu jakiegoś porozumienia, o ile się nie zna dokładnie jego tekstu. I właśnie w tem nieprzyjemnem położeniu jesteśmy obecnie, gdy mamy oceniać układ węglowy pomiędzy przemysłami polskim i angielskim układ, mający na celu zaniechanie wzajemnej konkurencji obu eksporterów węglowych w Europie, i jako taki mający stanowić pierwsze ogniwo w tworzącem się jakoby już obecnie międzynarodowem europejskiem porozumieniu wielkich eksporterów węgla.

Nie znamy układu, a z prasy angielskiej zdołaliśmy wyłowić tylko nieco cyfr, które w gruncie rzeczy mówią nam niewiele. Albowiem układ sprowadza się do tego, że przez porozumienie się obu przemysłów konkurencja ustaje, Polska ma eksportować węgla nieco mniej (o kilkanaście procent mniej, niż w 1934 r.), eksport angielski nie będzie naszemu zbijał cen — i zatem ceny powinny na rynkach importowych pójść do góry. Krótko mówiąc, mamy eksportować mniej i zato rentowniej. Tu jest sens porozumienia. Gdyby, oczywista, Anglja poczęła eksportować więcej, mamy prawo posuwać się za nią. Słuszne i zrozumiałe.

Pod tym względem układ jest jakgdyby korzystny. Korzystny o tyle, iż zaprzestajemy walczyć z anglikami kosztem *niewielkiej stosunkowo* straty ilościowej w naszym wywozie. Oczywiście, że każde ograniczenie wywozu powoduje spadek produkcji i groźbę wzrostu bezrobocia. Ale — trudno. Nigdy nic nie przychodzi bez ofiar, więc i to w ogólnym rachunku polityki gospodarczej per saldo może się „kalkulować", zwłaszcza, że chodzi o eksport połączony ze stratami.

Ale jest rzecz inna, o której — o ile się nam zdaje — w układzie głucho. Mamy mieć z układu tego *korzyść*, korzyść w postaci zwyżki cen. I tutaj zaczyna się słaby punkt.

Jak może powstać zwyżka cen w wyniku porozumienia producentów? Powstanie *napewno*, o ile porozumienie jest całkowite t. j. o ile wchodzą doń wszyscy główni producenci, którzy ustalają zarówno kwoty sprzedażne, jak — ewentualnie — i podział rynków, jak wreszcie i ceny. Wówczas cena ustalona w porozumieniu obowiązuje. Wiadomo, że polsko - angielskie porozumienie węglowe ustaliło tylko kwoty eksportowe. Podziału rynków i cen minimalnych ustalić nie mogło, bo na obu tych krajach nie kończy się lista głównych eksporterów węglowych w Europie ze brakują tu jeszcze Niemcy. Czy w takich warunkach nie należało wogóle robić porozumienia? Byłaby to napewno zbytnia ostrożność. Owszem — porozumienie częściowe tego typu jest możliwe, ale przy dokładnem zdaniu sobie sprawy, że ustępstwa i korzyści obu stron są ze sobą nawzajem ściśle związane. To znaczy, iż jedna strona zyskuje tylko o tyle, o ile zyskuje jednocześnie druga.

Na czem zależy Anglji? Na ograniczeniu wywozu polskiego węgla. Czy strona angielska ma to w układzie zagwarantowane? Ma. W niewielkim — jak mówiliśmy — procencie, ale i tak dostatecznie dla nas bolesnym. A co my mamy wzamian za to? „Sperandę" na podwyższenie się cen. Czy podwyżka ta jest pewna? O tem różnie można sądzić. Dla niektórych — napewno tak. Dla innych — raczej wątpliwa. W każdym razie wzamian za nasze konkretne ustępstwo mamy mniej lub więcej prawdopodobną korzyść.

Jeśli ceny istotnie pójdą wgórę, jeśli Niemcy do układu przystąpią, jeśli powstanie międzynarodowy kartel eksporterów węgla, który zacznie dyktować ceny itd. itd., to — dobrze. A jeżeli nie...

To — powiada się — zawsze układ można wypowiedzieć. Pewnie, że można teoretycznie. Ale, jak nam się wydaje, *Anglji* się tak łatwo układów nie wypowiada. Można się z nią targować przed zawarciem. Ale uwolnić się będzie trudno.

Trudno byłoby nawet najlepszemu znawcy zagadnienia powiedzieć, jaki stopień życiowego, rzeczywistego ryzyka tkwi w tem teoretycznem niebezpieczeństwie, o którem wyżej była mowa. Byłoby oczywiście lepiej, gdyby zobowiązania nasze miały charakter fakultatywny. Ponieważ Anglja nie może nam oczywiście zagwarantować zwyżki cen, bo to nie od niej zależy, byłoby lepiej, gdyby ustępstwa nasze w kwotach eksportowych uzależnione były od konkretnej zwyżki ceny. Innemi słowy, gdybyśmy się zgodzili eksportować w ciągu pół roku o tyle a tyle mniej, z tem, że o ile po pół roku cena nie pójdzie w górę, znów zaczynamy eksportować więcej.

Oczywiście niesposób jest odpowiedzieć, czy ryzyka tego można było uniknąć, czy nie należało go ponieść. W każdym razie ryzyko jest.

Zwłaszcza, że, jak mówią niektórzy, układ jest bardzo wygodny dla szeregu naszych „baronów węglowych", którzy tylko na to czekali, aby mieć pretekst dla obcięcia nazbyt już dla nich niewygodnego wywozu, do którego rząd ich zmuszał. Pretekst mają, robotników zwolnią, a o resztę... o resztę się już nie kłopocą. I tak po ostatniej obniżce cen wewnętrznych druga im tak prędko nie grozi...

a. w.

STEFAN BUCZKOWSKI

REGLAMENTACJA STOPY DYSKONTOWEJ

I.

W artykule p. t. Aktualne tematy kredytowe (Gosp. Nar. nr. 23/1934) wspomniałem, że poglądy zawarte, w niezbyt szczęśliwej pracy dra Malinowskiego, stanowią echo tez t. zw. „szkoły krakowskiej", tez, które znalazły wyraz m. inn. w pracy utalentowanego autora p. dr. Marka Breita p. t. Stopa procentowa w Polsce.

Chodzi tu o rzecz wielkiej doniosłości — o zagadnienie stopy procentowej w Polsce. Wiadomo, że problem stopy procentowej jest jednym z najkapitalniejszych problemów ekonomiki. P. Breit dał w pracy swej rzetelny wysiłek, aby przedstawić to zagadnienie. Wnioski jego nie odbiegają naogół od tez i postulatów głoszonych w tym zakresie przez innych autorów, których zwykło się określać mianem „szkoły krakowskiej". Tezom swym p. Breit dał bardzo solidną podbudowę teoretyczną, wykazując jednocześnie dużą wnikliwość, jeśli chodzi o stosunki faktyczne.

Synteza wniosków p. Breita — i rzec można— szkoły krakowskiej przedstawia się następująco: Struktura polskiego rynku kredytowego kształtowała się i kształtuje nadal pod silniejszym, niż gdzieindziej, naporem czynników pozagospodarczych. Etatyzm paczy u nas wszystkie dziedziny gospodarowania. Wszakże w żadną może nie wdarł się tak brutalnie, jak na rynek kredytowy. Rynek ten jest reglamentowany w drodze ustalania maksymalnej dopuszczalnej stopy procentowej. Dzięki tej reglamentacji najniższą jest stopa banku emisyjnego, najwyższą stopa banków prywatnych, a stopa banków państwowych leży między niemi. W innej płaszczyźnie kształtuje się stopa targu prywatnego jako bezwzględnie najwyższa w całej hierarchji cen rynku kredytowego. Reglamentacja przewarstwia więc układ cen, który normalne wytwarza się na rynku kredytowym; w miejsce jednolitej ceny kredytu, od której odbiega nieco wzwyż cena banku centralngo, mamy silnie rozszczepiony system cen. Konsekwencją najbezpośredniejszą istniejących proporcyj cen na naszym rynku musi być utrata pełnionej przez bank centralny w normalnych warunkach funkcji rezerwy rynkowej. Bo dzięki niskiej — najniższej stopie Bank Polski staje się pierwszem źródłem kredytu (zamiast być ostatniem). Nie mogąc oczywiście zaspokoić całego popytu po danej cenie, musi ograniczać popyt drogą kontyngentowania i racjonowania swoich kredytów; system ten więc spełnia tę funkcję, jaką normalnie spełniać powinna stopa dyskontowa. Wskutek reglamentacji również inne banki muszą się uciec do systemu kontyngentowania kredytów. Wyniki stanu rzeczy są wybitnie destrukcyjne. Repartycja kredytowa Banku Polskiego nie idzie w kierunku popierania warsztatów najbardziej rentownych: przeciwnie, z samej logicznej konstrukcji kontyngentów wynika, że fo-ryzuje ona raczej mniej rentowną produkcję przed zyskowniejszą (dowodzi tego też fakt znacznej rozpiętości między kredytami przyznanemi a wykorzystanemi). Banki prywatne aczkolwiek kierują się względami rentowności również finansują (wskutek reglamentacji) przedsiębiorstwa nietyle najbardziej rentowne, ile najbardziej pewne pod względem wypłacalności.

Rozbicie stopy procentowej nie może pozostać bez oddziaływania na jej regulatywną funkcję gospodarczą. Rozmaita wysokość ceny kredytu dla różnych przedsiębiorców oznacza stworzenie objektywnie niejednolitych warunków dla powstania aktywności przedsiębiorczej. Autor wykazuje jakto w ramach jednej gospodarki narodowej istnieją i narastają dwie formacje gospodarcze, zupełnie do siebie niepodobne. Jedna z nich — finansowana taniemi, krótkiemi kredytami bankowemi — odznacza się długiemi okrężnemi drogami produkcji oraz niską skalą krańcowej rentowności przedsiębiorstw, które posiadają nowoczesny i nawskroś zmechanizowany aparat wytwórczy. Druga — mogąca korzystać przeważnie tylko z drogich kredytów pozabankowych, wykazuje przy wysokiej rentowności krańcowej warsztatów niezwykle ścieśniony okres produkcyjny łącznie ze wszystkiemi znamionami mało kapitalistycznej produkcji; ale charakter tej produkcji pozostaje zato w zupełnej harmonji z zasięgiem i formami kapitalizacji pozabankowego targu kredytowego.

Stwarza to układ gospodarczy pełen zakłóceń i sprzeczności, które tylko przez krótki czas mogą zostać ukryte. Najdonioślejszą ze wszystkich rozbieżności jest rozbieżność pomiędzy indywidualnie zakrojonemi drogami wytwórczemi, a stojącym do dyspozycji ogólnogospodarczym zasobem kapitału rzeczowego. Doprowadza ona w pierwszych fazach konjunktury do silnego rozkwitu życia gospodarczego, a w stadjach zaawansowanej konjunktury staje się ona automatycznie źródłem załamania, gdyż w chwilach specjalnego wzrostu zapotrzebowania kredytowego, Bank Polski jest kompletnie niezdolny do spełniania roli rezerwowego źródła rynku kredytowego. „Zbudowany z takich elementów system gospodarczy, odbiegając niezwykle silnie od stanu idealnej równowagi gospodarczej jest zgóry skazany na całkowite załamanie się" — konkluduje p. Breit.

Może ten skrót pozwoli czytelnikom zorjentować się, jak poszczególne tezy p. Breita wiążą się w logiczną całość, jak fakty podane przez autora zgodne są z teoretycznemi przesłankami. Czy tezy p. Breita czy wogóle tezy szkoły krakowskiej są słuszne? Ramy artykułu nie pozwalają na takie zajęcie się temi zagadnieniami, jakby to było koniecznem. Szczegółowem sformułowaniem swego stanowiska zajmę się gdzieindziej, tu zaś—dla celów czysto informacyjnych—przedstawię popularnie tylko najbardziej oczywiste objekcje. Tym sposobem —

dyskusja ewentualna potoczy się w bardziej właściwym kierunku.

II.

Jeżeli w pracy p. Breita niemal wszystko się wiąże w jedną logiczną całość i tak pięknie zgadza z teoretycznemi założeniami (co — trzeba przyznać — działa niezwykle sugestywnie) to zawdzięczać należy tę okoliczność faktowi, że autor uprościł zagadnienie i nad kilku ważnemi problemami wprost się prześlizgnął.

Jeśli się wychodzi z faktu reglamentacji stopy procentowej w Polsce, to należy wprzód rozstrzygnąć kwestję czy reglamentacja była i jest u nas koniecznością, czy nie, a jeśli tak, — to z jakich przyczyn była koniecznością. Autor kwestii tej nie dotyka: przesłanki reglamentacji są mu obojętne, daje do zrozumienia jednak, że przesłanki te tkwią wyłącznie w politycznej ideologii państwa. Jest to więc uproszczenie sobie zadania tembardziej, że bodaj częściowo uzasadnienie reglamentacji tkwi w właściwościach strukturalnych naszego gospodarstwa. W b. Galicji jeszcze w XIX w. zniesiono walkę z lichwą pieniężną, w kilka lat później jednak znowu wprowadzono stawki maksymalne, gdyż całe rolnictwo zostało zrujnowane lichwiarskiemi procentami.

Pisałem już swego czasu o dużej nieelastyczności popytu kredytowego u nas, wynikającej z tego, że nasze podmioty gospodarki odznaczają się zbyt dużą prymitywnością rozumowania, by rządzić się zgodnie z racjami tego wyimaginowanego homunculusa ekonomicznego. Gdy jest kredyt, to się go bierze pełną garścią bez oglądania się na możliwości rentownego zatrudnienia kapitału: o procentach i rentowności zaczynają nasi kredytobiorcy myśleć dopiero wtedy, gdy trzeba kredyt spłacać — i wtedy oczywiście krzyczą, że wierzyciel musi stracić.

Gdy u podstaw naszej gospodarki tkwią tak olbrzymie dysproporcje, gdy mamy z jednej strony koncerny śląskie — wykwit hiperkapitalizmu, z drugiej chłopków poleskich czy hucułów, a w miejskich ghettach tłumy żyjących niewiadomo z czego żydów, to trudno sobie wyobrazić, by w tych warunkach mogła istnieć jedna cena kredytu i by mogła zniknąć lichwa pieniężna. Znieść reglamentację kredytu — to znaczy zrujnować w Polsce wszystkie nowoczesne przedsiębiorstwa i wrócić do prymitywu. O tem trzeba pamiętać, gdy się mówi o skutkach reglamentacji; nie przeszkadza to oczywiście temu, by dążyć do usuwania z biegiem czasu złych skutków reglamentacji i reglamentacji samej przez usuwanie innych dysproporcyj.

Obok kwestji „czy“, istnieje kwestja „jak?“ Otóż warto podyskutować na temat, czy zastosowane w Polsce środki reglamentacji są właściwe. Uważam, że są przeważnie niewłaściwe, ale z innych powodów niż te, które podaje cytowany autor. P. Breit niesłusznie eliminuje spod obserwacji kredyt długoterminowy. „Rynek kredytu długoterminowego — pisze autor — jeśli o takim można wogóle mówić, jest dziedziną, na której wyłącznie panują pozagospodarcze czynniki... Przyłożenie do tego zjawiska miernika ekonomicznego jest niemożliwe“. Bardzo żałujemy, ale nam się wydaje, że jest wręcz odwrotnie, chyba że zwodzi nas statystyka. Proszę porównać dwie cyfry: sumę emisji listów zastawnych i obligacyj banków prywatnych i towarzystw kredytowych oraz sumę emisji banków państwowych: cyfry te są niemal równe. Należy przytem mieć to na uwadze, że emisje banków państwowych nie były lokowane na wolnym rynku, lecz przeważnie na t. zw. rynku sztywnym, który niemal pozbawiony jest wpływu na kształtowanie się stopy rynku lokacyjnego. Zważmy przytem, i to, że stopa faktyczna na rynku lokacyjnym nie jest reglamentowana (i wogóle nie może być reglamentowana) i że z małemi wyjątkami niema interwencji dla podtrzymywania kursów.

Jeśli może być wogóle mowa o jakimś rynku w Polsce, to cechy rynku posiada przedewszystkiem właśnie „targ“ kredytu długoterminowego. P. Breit przechodząc nad nim do porządku dziennego osłabił sam swoją pozycję, bo konkluzje wypadają conajmniej zbyt jednostronnie.

Pisałem już o tem kiedyś, że reglamentacja kredytu była pełna u nas dziwacznych wyskoków i że cechował ją karygodny brak koordynacji poszczególnych elementów. Reglamentacja była i jest u nas koniecznością (którą oczywiście trzeba stopniowo likwidować), ale złem było bezplanowe wykonanie jej wskutek czego, zamiast oddziaływać wychowawczo często stwarzała warunki do obecnej katastrofy. Puszczony został przedewszystkiem samopas długoterminowy kredyt emisyjny instytucyj prywatnych, co wywindowało niezmiernie wgórę stopę na rynku lokacyjnym i oddziaływało kolei na stopę w kredycie krótkoterminowym. Zbyt wysoka stopa rynku lokacyjnego musiała oczywiście zabić również rynek akcyjny, bo jakież przedsiębiorstwo nawet w dobrej konjunkturze potrafi dać dywidendę ponad 15 proc.? Następnie, Bank Polski utrzymywał niemal do ostatnich lat za wysoką stopę dyskontową, bo skoro nie ona odgrywała funkcję regulatora popytu na kredyt, mogła i powinna była być niską, odpowiednio do niskiej rentowności naszych warsztatów.

Nie mogę również zgodzić się z tem, co p. Breit mówi o rentowności przedsiębiorstw dowodząc, że reglamentacja i kontyngenty powodują, iż kredytem nie alimentuje się przedsiębiorstw najrentowniejszych. Autor wogóle przecenia znaczenie kredytu obrotowego w naszej gospodarce. Nasz aparat produkcyjny to przedewszystkiem rolnictwo, które zawsze odznaczało się niską rentownością. Te zaś „kombinacje rentowne“, o których autor mówi, że nie korzystają z kredytu bankowego, nigdy i nigdzie nie byłyby finansowane przez banki, gdyż zasada *„safety first“* stoi z niemi przeważnie w jaskrawej sprzeczności. Są one zawsze skazane na kredyt pozabankowy, który zawsze będzie droższy. Nigdzie nie jest inaczej. Wniosek więc, że banki z instytucją emisyjną na czele nie finansują kombinacyj najrentowniejszych ostać się nie może, bo fakt ten nie wypływa z reglamentacji.

Zdaniem p. Breita normalnie kredyt długoterminowy jest pewnego rodzaju nadbudową rynku kredytu krótkoterminowego; powstaje on wtedy dopiero, gdy na rynku kredytu krótkoterminowego zaistnieje pewien stan nasycenia. U nas jest odwro-

tnie; dominuje kredyt długoterminowy, dzięki etatyzacji i reglamentacji kredytu. Otóż mojem zdaniem fakt ten nie jest wynikiem reglamentacji, lecz naturalnych potrzeb naszej gospodarki. Z każdym rokiem trwam coraz silniej w przekonaniu, że nasza gospodarka potrzebuje względnie małego wolumenu krótkoterminowych kredytów obrotowych; typ naszej gospodarki skazuje nas na względnie długie „okrężne drogi produkcji“ i stąd nacisk powinien być położony na rozbudowę kredytu średnio - i długoterminowego. Wynika to nieuchronnie z naszej struktury gospodarczej. Twierdzenia, że zapotrzebowanie na kredyt krótki jest u nas niedostatecznie zaspakajane mojem zdaniem fakty nie potwierdzają podobnie jak i twierdzenia, że kredyty banków państwowych cechuje „brak uzależnienia realności zapotrzebowania od określonego stosunku, zachodzącego między rentownością kombinacji wytwórczej wysokością stopy procentowej“. Inną jest natomiast kwestia roli fiskusa jako kredytobiorcy i kredytodawcy. Fiskalizm i etatyzm rzeczywiście wypaczają u nas procesy gospodarcze, ale tych kwestyj nie można wrzucać w jeden kocioł wespół z bankami publicznemi, skoro te ostatnie nawet w bilansach wyraźnie odcięły działalność swoją od działalności na rachunek skarbu.

Gdy patrzymy na ostatnie lata kryzysowe, dostrzegamy dość wyraźnie, że jedną z przyczyn pogłębiających nasze trudności była zbyt wysoko utrzymywana stopa procentowa — nie dzięki reglamentacji — lecz właśnie mimo reglamentacji. Dzięki temu runął nie system reglamentacji, lecz gmach „rentownych kombinacyj“ grzebiąc pod sobą tych lichwiarzy, którzy tworzyli „targ prywatny“.

Nawet tak pobieżny przegląd wskazuje na konieczność zakwestionowania szeregu przytoczonych tez. Powrócę szerzej do tej sprawy na innem miejscu, ograniczając się tu do podkreślenia raz jeszcze, że niebezpieczeństwa, zawsze związane z niesłusznym poglądem rosną wtedy, gdy pogląd ten zawarty jest w dziele solidnem i z szeregu względów wybitnie pożytecznem.

Od Redakcji. Zamieszczony w numerze niniejszym artykuł dra Buczkowskiego omawia istotną, merytoryczną stronę problemu, który w artykule poprzednim poruszony został tylko ułamkowo, zważywszy na charakter i temat tego artykułu. Równoczesne zamieszczenie wyjaśnień dra Malinowskiego i gotowość otwarcia łamów naszego pisma dla ewentualnej **merytorycznej** polemiki, wskazują tem jaśniej jakiem nieporozumieniem były wyrazy zdziwienia zamieszczone (obok uprzejmych słów pod naszym adresem), przez „Czas“ przy okazji polemiki z artykułem dra Buczkowskiego.

NOTATKI

HUŚTAWKA

Na początku było słowo. To znaczy obietnica, reklama, plan wieloletni. Rojono, że przy pomocy ca. 100 miljonów zł. rocznie uda się zorganizować wielkie krajowe roboty publiczne, że w każdym powiecie zbuduje się po kilka kilometrów szos, w każdą nieuregulowaną rzekę wrzuci się po kilka fur kamieni i faszyny dla umocnienia brzegów, że powstanie kilkanaście schronisk turystycznych, że osuszymy Polesie, że stworzymy wzorowe farmy dla bezrobotnych itd., itd.

Pismo nasze od początku istnienia Funduszu Pracy dosyć sceptycznie zapatrywało się na te różowe perspektywy. W swem krytycznem ustosunkowaniu się do Funduszu kładło ono większy nacisk na stronę socjalną, aniżeli na stronę inwestycyjną. Rzeczywistość zadała jednak kłam naszemu sceptycyzmowi. Fundusz Pracy stał się nietyle „kotłem z zupą rumfordzką“ (odżegnywał się zresztą od tej funkcji: jak djabeł od święconej wody), ile — „puszką Pandory“, pełną wszelkich możliwości i niemożliwości inwestycyjnych. Pieniądze Funduszu szły równie dobrze na tymczasowe umacnianie brzegów rozhukanego Czeremoszu, jak i na sfinansowanie wyjazdu baletu do Rumunji. Co więcej — Fundusz stał się ośrodkiem dyspozycji (czy obietnicy) kredytowej, nowym BGK., rasowym finansista, partycypującym — wbrew ustawie — w kapitale zakładowym przedsiębiorstw w rodzaju, pożytecznego skądinąd, Towarzystwa Osiedli Robotniczych. Gdy kto potrzebował pieniędzy na budowę, dobudowę, przebudowę, rozbudowę — biegł do Funduszu Pracy i nie wychodził z pustemi rękami.

Nagle — wszystko trzasło. Fundusz Pracy spod skrzydeł Prezydjum Rady Ministrów przechodzi pod opiekę Ministerstwa Opieki Społecznej. Jednocześnie — co ważniejsze — Fundusz Pracy z inwestycyjno - kredytowego staje się z dnia na dzień funduszem drogowym. Lwia część jego środków (nb. uszczuplonych dotkliwie przez wycofanie Skarbu Państwa i samorządów z akcji dotowania Funduszu) ma iść wyłącznie na budowę dróg z budżetu i pod kierownictwm Ministerstwa Komunikacji. I tylko drobne kwoty — poza dokarmianiem bezrobotnych — pójść mają na dokończenie niektórych zapoczątkowanych przez Fundusz robót.

Nie byliśmy entuzjastami tych ostatnich i nie wierzyliśmy w realne kształty naszej pięcio — czy sześcio — latki, ułożonej przez Fundusz Pracy. Nie powstrzymuje to nas jednak od uwagi, że tak nagłe przerzucanie się z jednej ostateczności w drugą nie jest dla gospodarstwa narodowego zbytnio korzystne. Co zrobimy z szeregiem prac rozpoczętych (mniejsza z tem, że lekkomyślnie) i niedokończanych? Co będzie z zatrudnieniem bezrobotnych umysłowych, uzupełniających działalność wielu instytucyj społecznych, gospodarczych, naukowych itp.? I co powiemy tym wszystkim, którym tak dużo obiecano i których zaprzągnięto do żmudnej pracy nad ułożeniem wieloletniego i wszechstronnego (aż zanadto!) planu inwestycyjnego? Jak wreszcie zostanie postawiona kwestja bonów, któ-

re emituje Fundusz Inwestycyjny bez widomych dla życia gospodarczego korzyści....

Zjawisko huśtawki jest w polskich warunkach nader pospolite i nader, rzecz wiadoma, szkodliwe. Zapobiec mu może jedynie powściągliwość w obietnicach i zaniechanie metody „słomianego ognia".

k. b.

KARA ZA TANIOŚĆ

Nasze ustawodawstwo podatkowe w specjalnie ochronny sposób traktuje budownictwo mieszkaniowe. Rzeczywiście poważne względy natury społecznej i gospodarczej przemawiają za tego rodzaju polityką. Ale nie wszystko w odnośnych zarządzeniach jest gruntownie przemyślane: jednakowo traktuje się naprzykład pod względem otrzymywania ulg w zakresie podatku przemysłowego i daniny majątkowej spółdzielnie mieszkaniowe (pozostające własnością społeczną) i spółdzielnie budowlano mieszkaniowe, które przekazują mieszkania na własność poszczególnych członków. Ostatnio mamy do zanotowania nową charakterystyczną sprawę: szereg spółdzielni mieszkaniowych w celu usprawnienia i *potanienia* budowy zawiązało nową spółdzielnię — przedsiębiorstwo budowlane. Członkami tej nowej spółdzielni mogą być tylko osoby prawne, wszelki indywidualny zysk jest statutowo wykluczony, celem spółdzielni jest wyłącznie budowa mieszkań, przyczem ewentualna nadwyżka jest dzielona w stosunku do kwot przebudowanych.

Zdawałoby się, że sprawa jest jasna. Że akcja potaniającą i usprawniająca budownictwo mieszkaniowe, finansowane w lwiej części z funduszów publicznych znajdzie poparcie władz podatkowych. Dzieje się jednak inaczej. Władze skarbowe — niższych instancji — widocznie uważają: będziesz budował drożej i gorzej, to należą ci się ulgi podatkowe. Będziesz budował sprawniej i oszczędniej to wówczas pod względem podatkowym przyciśniemy winnego.

Luka w przepisach, czy też błędna ich interpretacja nie może prowadzić do tego, azeby podatek stawał sie karą za taniość, hamulcem dla potanienia kosztów budowy przez zracjonalizowanie oranizacji budownictwa. Jaką drogą należy sprawe rozwiazać nie wiemy, ale, że ją trzeba rozwiązać to jasne.

s. s.

WYJAŚNIENIE.

Z powodu artykułu p. Stefana Buczkowskiego „Aktualne tematy kredytowe".

W numerze 23 „Gospodarki Narodowej" z dnia 1 grudnia b. r. ukazał się artykuł p. Stefana Buczkowskiego p. t. „Aktualne tematy kredytowe". Parę ustępów II części artykułu poświęcił p. B. omówieniu mojej pracy „Struktura rozdziału kredytów bankowych w Polsce", ogłoszonej w zeszycie II „Kwartalnika Statystycznego" z b. r.

P. Buczkowski oparł się w swych rozważaniach na recenzji p. Mieczysława Smereka, zamieszczonej w numerze 11 miesięcznika „Bank" z b. r., na którą się powołuje (recenzja ta ukazała się niemal jednocześnie z artykułem p. B.)

Zarzuty podniesione przez p. B. są powtórzeniem zarzutów p. Smereka. O ile jednak p. Smerek część swej krytyki przeprowadzał na płaszczyźnie zarzutów merytorycznych, o tyle p. B. postawił sobie za zadanie li tylko ośmieszanie i parodjowanie mej pracy. (Notabene p. B. w pierwszej części swego artykułu występuje w imię podniesienia poziomu publicystyki gospodarczej w Polsce). Twierdzenia zawarte w przytoczonych przez p. B. cytatach, które zostały wyrwane z mojej pracy bez związku z tokiem mego rozumowania wydają się nieuzasadnione. Ułatwia to p. B. opatrywanie cytat sensacyjnemi komentarzami. Interpretacja ta posiada jednak taki charakter, że wprost mimowoli przypomina się termin prawniczy działania „in fraudem legis".

Tak n. p. Autor artykułu przytaczając zdanie: „Oczywiście Bank Polski i banki państwowe nie są w stanie zaspokoić całkowitego zapotrzebowania kredytowego", opatruje je komentarzem „zdaje się, że nikt wogóle nie jest w stanie zaspokoić, a nie tylko te banki". Z treści mej pracy niedwuznacznie wynika, że chodzi tutaj nie o jakiś abstrakcyjny, nieograniczony popyt, lecz **o popyt po danej cenie** (stopie procentowej, specjalnie niskiej). A w takim razie komentarz p. B. traci wartość merytoryczną, pozostaje jedynie zręcznym zwrotem retorycznym. Inne komentarze i uwagi p. B. posiadają, niestety, podobny charakter... Pragnę wszakże w tem miejscu sprostować jedno zasadnicze nieporozumienie. P. B. w swym artykule zaliczył mnie do „szkoły liberalnej", t. j. do zwolenników polityki liberalnej. Stwierdzam, że sąd ten jest wręcz nieprawdziwy. Nieporozumienie, o kóre mi chodzi, możliwe było dzięki temu, że zjawiska rynku pieniężno - kredytowego, poruszone w mej pracy, analizuję z punktu widzenia zasady rentowności. (Notabene p. B. nie wskazuje innej lepszej metody badania naukowego zjawisk życia gospodarczego).

Z uwagi na to, że p. Buczkowski, jak wskazałem, powtarza zarzuty z recenzji p. Smereka w „Banku", pozwolę sobie Szanownych Czytelników „Gospodarki Narodowej", interesujących się powyższem zagadnieniem, skierować do miesięcznika „Bank". Redakcji „Banku" przesłałem odpowiedź na krytykę i zarzuty, postawione mi przez p. Smereka. **Dr. Władysław Malinowski.**

REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY I WYDAWCA W IMIENIU SPÓŁDZIELNI „GOSPODARKA NARODOWA" CZESŁAW BOBROWSKI.

SEKRETARZ REDAKCJI ZOFJA CIECHOMSKA

ADMINISTRACJA CZYNNA CODZIENNIE OD 11 DO 13

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: SZPITALNA 4. TELEFON 676-73 KONTO P. K. O. 25.656

PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR: ZAGRANICĄ 6 ZŁ. CENNIK OGŁOSZEŃ NA ŻĄDANIE.

Druk Piotra Laskauera, W-wa, Marjensztadt 8, tel. 222-39.